TYGODNIK POWIEŚCI.

Nr. 4. POZNAŃ, 26go Października 1878 roku. Rok I.

Prenumerata w Poznaniu i na Prowincyi rocznie 8 marek — półrocznie 4 marki — kwartalnie 2 marki.

Wychodzi co Sobotę w objętości 1 — 1½ arkusza.

W Galicyi wynosi prenumerata kwartalnie 1 złr. 25 cent.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i urzędy pocztowe.

Koleje życia.

Powieść

T. T. Jeża.

(Ciąg dalszy).

Edwarda położenie nie było najprzyjemniejszem. Wydawszy z prawéj kieszonki od kamizelki wszystko co miał, nie posiadał już ani grosza więcej: nie miał więc za co konsumować. Ciekawość jednakże trzymała go w sali jadalnéj. Rola przeto jego stała się rolą intruza. Garsony łokciami go potrącali, goście ściskali i popychali. I byłby już, pomimo ciekawości, wyszedł, gdyby niespodzianie nie zjawił się przed nim młody człowiek, który siedział obok damy i nie powiedział:

— Moja mama prosi pana, ażebyś zechciał usiąść obok nas.

— Gdzie? zapytał Edward.

— Oto tam, w głębi sali.

— Tam gdzie pan profesor?

— Tam, proszę pana.

Edward wstał i udał się do damy, która z uśmiechem skłoniwszy głową, ukazała mu miejsce obok siebie.

— Czy pan mnie nie przypominasz sobie?

Twarz damy nie wydawała się Edwardowi obcą; nie wiedział jednakże dla czego nie jest obcą. W odpowiedzi więc na zapytanie, pokraśniał niby piwonia, i począł bąkać:

— Prawdziwie... Zdaje mi się... Nie umiem powiedzieć

— Drumonda światło, podchwyciła dama.

— Ach!

I oczy spuścił. Przypomniał sobie wszystko, nawet to, jak kułakami usiłował ją odtrącić, jak całą siłą rozrywał otaczające go rozpaczliwie ramiona. I był jak winowajca na gorącym złapany uczynku. Dama, zdaje się, pojęła powód jego zmięszania, bo tonowi głosu swego nadała dźwięk jak najłagodniejszy:

— Winnam panu podziękowanie. Paneś mnie uspokoił i wyprowadził. Bez pana, kto wie, czy nie uległabym losowi tych pań, które sobie powytykały nogi, powichały ręce i porozbijały głowy. Pan stałeś się dla mnie zesłańcem Opatrzności.

Edward nie wiedział co odpowiedzieć na to. Usłyszane wyrazy podniosły go w jego własnem mniemaniu. Poznał, że jeżeli i wyrządził téj damie po ciemku przykrość jaką, to obok przykrości oddał jéj i znakomitą usługę. Zresztą, kto wie, czy jéj to mianowicie dostały się kułaki. Tam tyle cisnęło się pań! Więc się uspokoił wewnętrznie i przyjmował podziękowania czystem sumieniem.

— Ale ja na tem podziękowaniu nie kończę, ciągnęła dama. Spodziewam się, że pan nie odmówisz mi téj grzeczności i odwiedzić mnie zechcesz. Mieszkam na Chersońskiéj ulicy, pod numerem 518.

— Ach! pani, odpowiedział Edward. To będzie obowiązkiem moim.

— Dopełniże pan tego obowiązku jak najprędzéj, dziś? jutro? może pojutrze?

— Pojutrze, odrzekł Edward machinalnie. Byłby był odpowiedział: dziś albo jutro, gdyby dama na jednym z tych wyrazów zatrzymała się była.

— O któréj godzinie?

— O któréj pani chce.

— Nie, odparła pani. Nie ośmielę się ja naznaczać godziny człowiekowi, który ma czas zajęty. Pan dajesz lekcye. Mówił mi to pan profesor.

Tu ukazała oczami na siedzącego naprzeciwko profesora, którego wzrok i uwaga zwrócone były na nieznajomego konsomatora, zabierającego się do objadu.

— Naznacz pan godzinę sam. Ja próżniaczka, mogę się do pańskiego zastósować czasu.

Edward pomyślał przez chwilę i naznaczył piątą po południu.

— Więc dobrze, pojutrze o piątéj będę na pana czekała. A teraz przypatrzmy się spektaklowi, który taką widzów zgromadził ilość. Ten apetyt ma w sobie coś *grandioso*. Zaszłam do Ottona z nudów i znalazłam niespodzianie rozrywkę niezwykłą.

— Nieznajomy jegomość wziął się do obiadu. Kazał sobie naprzód podać spory kieliszek wódki, wypił go jednym haustem i po kolei, porządkiem, jakim ułożoną była lista potraw, zjadał porcyą po porcyi. Zjadłszy przekąski, wziął się do zup; zjadłszy wszystkie gatunki zup, wziął się do potraw, z pomiędzy których te, co mu najbardziéj smakowały, powtarzał po dwa i po trzy razy, z wyjątkiem jakiegoś mięsa z pieczarkowym sosem, które powtórzył siedm razy. Przy siódméj porcyi tego mięsa, publiczność dała mu grzmotne brawo. To go trochę zastanowiło, jakby tylko co spostrzegł się, że jest przedmiotem ogólnéj ciekawości. Odchrząknął, brwi namarszczył, groźnem okiem poprowadził po sali i trzonkiem od widelca po stole stuknął. Zrobiło się cicho. Nieznajomy kazał podać sobie następną potrawę. Gdyby nie to brawo, zdaje się, że nie byłby poprzestał na siedmiu porcyach mięsa z pieczarkami.

Ale czekało go jeszcze jedno brawo. Zjadłszy ostatnią potrawę, kazał dać rachunek. Zamiast rachunku zbliżył się do niego sam Otton i z grzecznym ukłonem oświadczył mu, iż tak wielką sprawił jego gościom satysfakcyą, że prosi go, ażeby całą konsomacyą przyjął od niego *gratis*.

— Za kogoż to mnie pan masz! odrzekł groźnie nieznajomy głosem podniesionym. Proszę natychmiast o rachunek. Jadam dla niczyjéj, tylko dla własnéj satysfakcyi!

Otton trochę tem zmięszany powiedział na chybił trafił okrągłą jakąś liczbę. Nieznajomy zapłacił, rzucił kilka groszy dla lokaja, wstał i wyszedł, wyprowadzony zapamiętałem klaskaniem w dłonie całéj zgromadzonéj publiczności i okrzykami:

— Brawo! brawo!

Mina jego była miną lwa, przechodzącego wśród zgrai szczekających psów.

Kto był ten nieznajomy? nikt nie wiedział. Pojawił się na horyzoncie odeskim jak kometa i znikł i tylko zostawił po sobie wspomnienie, które i dziś przechowuje się w tradycyi przywiązanéj do salonów Ottona jeżeli *nb.* Otton egzystuje jeszcze.

Zdarzenie to wywarło na umysł naszego bohatera większe jakby się zdawać mogło wrażenie. W tym nieznajomym ujrzał on w spotęgowaniu siebie samego. Widział w nim bowiem smakosza, co się okazywało z wyboru potraw powtarzanych i przytem człowieka sprawiedliwego, co się okazało z tego, że nie chciał cudzego. Pomimo wielkiéj oszczędności, czuł, że byłby zdolnym zdobyć się na heroizm podobny. Nie posiadał takiego apetytu, ale to mniejsza. Nie apetyt miał na myśli, lecz wydatek, który, dla dogodzenia podniebieniu, poniósłby chętnie, gdyby. . .

Owóż to „gdyby“ stało przed nim, jak próg za wysoki na jego nogi. Przekroczyć przez ten próg, był to ideał jego życia, którego wychodnim punktem było zapytanie:

— Co począć po skończeniu liceum?

Odpowiedział sobie w duchu:

— Gdyby mi dojść do pięćdziesięciu tysięcy złotych polskich kapitału i pobierać od nich po siedm od sta.

Obliczał i mówił:

— Nie, to mało.

— Gdyby mi dojść do sześćdziesięciu tysięcy.

Znów obliczał i znów mówił:

— Nie, to mało.

— Gdyby mi dojść do stu tysięcy.

Znów obliczał i tym razem już mówił:

— Ha! to jeszcze jako tako. Mając dukata dziennie pewnego a stałego dochodu, można już pozwolić sobie na niedokładanie tego dukata do kapitału.

Więc *sto tysięcy* stały się dla niego gwiazdką: która mu w przyszłości zaświeciła. Ale: jak do niéj dojść? Każda z otwartych przed nim dróg wydawała mu się długą, bardzo długą, pełną trudów i prywacyi i nudów wieloletniego czekania. Jak tę drogę skrócić? Edward nie widział sposobu. Procenta i od procentów procenta, i po latach a latach, *sto tysięcy*. Dla prędszego jednakże doczekania się owych stu tysięcy, potrzeba pójść w jakąś służbę publiczną lub prywatną, potrzeba się do czegoś wziąść, ażeby z procentów ani grosza nie uronić. Wciąż przeto stało mu w myśli nierozwiązane zapytanie:

— Co począć po skończeniu liceum?

V.

Dyana mieszkała w Odessie bardzo paradnie. Dla ustalenia pobytu kupiła sobie na Chersońskiéj ulicy dom, który z powierzchowności nie wydawał się ani najpiękniejszym, ani najokazalszym. Wewnątrz jednakże urządzonym był z przepychem, nie ustępującym pomieszkaniom panujących. Podłogi zaścielały kosztowne kobierce, na ścianach wisiały drogie zwierciadła i malowidła wsławionych artystów, po gzymsach i kątach stały z kararyjskiego marmuru posążki, z *verde* lub *gialo antico* kolumny i etruskie urny, okna przysłaniały najprawdziwsze adamaszkowe firanki; meble były najwytworniejsze i naj-

misterniejszéj roboty, tak, że rzeźba każdego krzesła mogła śmiało jako utwór sztuki uchodzić. Jako szczególność w umeblowaniu podnieść należy tę okoliczność, że w jednym pokoju stało sześć dużych szaf napełnionych książkami, a we wszystkich pokojach wszystkie stoły, nie mające szczególnego przeznaczenia, zawalone były książkami, przeglądami, dziennikami, rycinami, mapami, globusami i matematycznemi instrumentami. O fortepianach nie wspominam, na których i na stojących obok etażerkach spoczywały stosy nót. Widząc tę prawdziwą wewnętrzną *exhibition* książek, nb. nowiutkich i w 0,99 części nieporozcinanych, rzekłbyś, że to skład księgarski, mający być pomału do sklepu wyniesionym i na sprzedaż wystawionym.

W téj wystawie jednakże nie było najmniejszego zamiaru sprzedaży. Wszystkie te książki przeznaczone były na to, ażeby treścią swoją wlazły w głowę młodego Eliasza Endymionowicza.

Cóż to za książki? Dziwna rzecz! Czytelnik gotów mi nie uwierzyć. Pomiędzy niemi nie było ani jednego romansu, ani jednéj powieści, wyjąwszy chyba tych, których nie można było wydrzeć z przeglądów i wyciąć z dzienników. Zresztą wszystko dzieła naukowe: historye, statystyki, jeografie, polityczne ekonomie, matematyki, filologie, filozofie, historye naturalne, fizyki, chemie, numizmatyki, prawoznawstwa, historye literatur etc. etc. etc. Zbiór ten naukowości w książkach, rozrzuconych po całym domu, dziwnie jakoś kontrastował z przepychem umeblowania, ze służbą w aksamitnéj galonami obszytéj liberyi i nakoniec z powierzchownością saméj pani, każdym ruchem zdradzającéj nawyk życia w sferze tego świata, w któréj nie panuje nic mniéj, jak ciężka naukowych badań atmosfera.

Dyana ten swój dom nazwała pustelnią. Żyła w nim samotnie, to jest, nie biorąc tego wyrazu „samotnie“ w znaczeniu literalnem. Dużo u niéj bywało ludzi, ale nie tych, wśród których wychowała się, wyrosła i trzydzieści z górą przeżyła lat Nie przyjmowała jednakże nikogo z wielkiego świata, tylko samych profesorów i uczonych, dla których wyłącznie przystęp do niéj był otworzony; których podejmowała, gościła, dla których wreszcie zaprowadziła w jednym dniu tygodnia literacko-scientyficzne wieczory.

W jakim to robiła celu? nie mam potrzeby czytelnikowi tłómaczyć. Tłómaczenie przedstawiało się samo przez się pod postacią szeroko na literacko-scientyficznych wieczorach ziewającego młodego Eliasza. Jednéj jednakże rzeczy przemilczeć się nie godzi, téj, że było to ze strony Dyany wielkiem dla syna poświęceniem. Dla niéj, przyzwyczajonéj do girlandowych rozmów, toczących się lekko i dźwięcznie, muskających przedmiot jak jaskółka wodą i strzelających niekiedy racami dowcipu, kalamburów i dwuznaczników, wysłuchać naprzykład rozprawy o cykloidzie i epicykloidzie albo o systemie Berzeliusa, albo też należeć do rozmowy o subjekcie i objekcie, lub o wielkich korzyściach statystyki porównawczéj, było prawdziwą a ogromną ofiarą.

Mogłaż ona ofiarę tę znieść? inaczéj: mogłaż ona ten kielich goryczy wychylić do dna?

Bywa ofiara i ofiara; bywa gorycz i gorycz. Zależy to od tego, kto z jakiem usposobieniem pierwszą niesie a drugą pije. Matki do wielkich względem dzieci zdolne są poświęceń, lecz nie wszystkie do wszelkich. Dyana, naprzykład, poszłaby z ochotą za Eliasza na stos i dałaby się spalić z uśmiechem na ustach, bo ofiara ta, aczkolwiek ogromna, trwałaby jedną chwilkę. Ale poświęcać się dla niego jednym ciągiem, długo? rozłożyć ofiarę na lata, miesiące, godziny? pić gorycz po kropli i dna kielicha nie widzieć? to było nad jéj siły. Porwała się, bo nie wiedziała na co Z początku nawet ją to zabawiało. Lecz po roku, z pewnym rodzajem strachu poznała, że przed nią jeszcze rok, a po tym roku jeszcze rok, a po tym jeszcze. Poznała oraz, że w téj atmosferze, którą siebie i syna otoczyła, Eliasz się rozziewał, a ona się zmęczyła. Ciągłe obcowanie z uczonymi z każdym dniem stawało się jéj nieznośniejszem. Profesorowie przyprowadzali ją do rozpaczy. Zrazu pocieszała się tem, że mówiła sobie:

— To dla Eliasza.

Lecz pryzma rozpaczy, przez jaką na Eliasza patrzała, ukazywała jéj, jéj poświęcenie w świetle wcale nie wesołem. Syna opanowała jakaś senność, jakby od tych stosów książek i z tych poważnych postaci, nadzianych matematyką, filozofią, historyą, filologią, statystyką etc. wydzielał się chloroform i bił mu na mózg. Przy lekcyach drzemał, obcując z uczonymi drzemał, na scientyficzno-literackich wieczorach drzemał, od rana do wieczora drzemał. Nic nie pomagała emulacya, do któréj własnym przykładem usiłowała go matka pobudzić. Gdy tylko otwierała usta do pochwalenia się przed nim jakąś na polu wiedzy zdobyczą, on natychmiast drzemał i tylko trzeźwym umysłem przyjął wiadomość o strasznym wypadku na popularnym wykładzie fizyki i rozśmiał się.

Sądząc po tem nieustannem drzemaniu, skłopotana matka przyszła w końcu do tego przekonania, że niestety! profesorskie wykłady doprowadzą jéj jedynaka do tego, iż zapomni, tego nawet, czego się od guwernantek nauczył.

Co tu począć? oto w jéj zakłopotaniu było dla niéj Hamletowe: *that is the question.* Wracać do guwernantek? było niepodobieństwem. Iść daléj z profesorami? było także niepodobieństwem.

W tem zakłopotaniu myśl jéj często zwracała się, mówiąc językiem uczonych, w sferę subjektywną. Powiadała sobie:

— Cokolwiek się stanie, jakikolwiek dla Eliasza wybiorę na przyszłość edukacyjny system, nie powinnam zapominać i o sobie.

Dyana liczyła podówczas, jeżeli nie więcéj to nie mniéj jak czterdzieści lat. Młodociane jéj wdzięki od

dawna już znikły, a pozostał ten, niby potraw, odblask drugiéj młodości, kwitnącéj dla kobiety pomiędzy trzydziestym a czterdziestym rokiem życia. W epoce téj kobieta nie jest już w stanie pokochać sercem, ale, albo głową, albo oczami, to jest, albo w niéj przemawia rachunek, albo też namiętność. Miłość ta, zwłaszcza gdy bierze źródło w namiętności, posiada wszystkie cechy i przymioty młodocianéj, tylko brak jéj jednéj drobnostki: poezyi, będącéj wyłączną tamtéj właściwością. Kobieta młoda kocha jak gołąbka, czterdziestoletnia jak. . .

Ale dajmy porównaniom pokój. Na końcu pióra wisiał mi wyraz, który, gdybym go był spuścił na papier, byłbym nawołał na siebie straszny wszystkich podżyłych amantek gniew. Nie tylko by się na mnie pogniewały, ale, co gorzéj, na nic by mnie skrytykowały. Od stolika, przy którym piszę, słyszę ich krzyk:

— Powieściarzu! odszedłeś od rzeczy.

Rzeczywiście, odszedłem. Chciałem bowiem powiedzieć, że ile razy Dyana mówiła w myśli: „nie powinnam zapominać i o sobie,“ tyle razy przed oczyma jéj wyobraźni występował młodzieniec w akademickim mundurze, przystojny, kształtnie i pięknie zbudowany, z rumieńcem niewinności na policzkach.

Co przed oczy jéj wyobraźni wywoływało postać tego młodzieńca? alboż ja wiem! Mnie się zdawało, że odejściem od rzeczy potrafię ten fenomen wytłómaczyć. Lecz ponieważ to się nie udało, przeto nie pozostaje mi, jak zebrać w jedno wszystkie Dyany zalety i wady, mianowicie: że kochała syna, że nie umiała go kochać rozumnie, że zajmowała się szczerze jego edukacyą, że nie wiedziała co z tą edukacyą robić, że miała czterdzieści lat, że nakoniec nie była świętą.

(C. d. n.)

WARYAT.

NOWELLA

BRET-HARTE'A.

PRZEKŁAD

A CALLIER.

(Ciąg dalszy).

Kilkakrotnem powtarzaniem tego twierdzenia, przyszła do mniemania wreszcie, że w gruncie rzeczy nie było ono tak znów bardzo mylnem, następnie do bezwiednego pragnienia by się z czasem okazało słusznem, a nakoniec do bezwiednego również ale już gorącego żądania, by owo „z czasem“ o ile możności jak najbardziéj przyspieszyć. Że to było zgodne z chęcią „waryata,“ o tem nie wątpiła ani na chwilę; że go to z jego waryactwa wyleczy —na tym punkcie miała wiarę silną jak opoka. I w rzeczy saméj pośród nas bardzo mało jest mężczyzn i kobiet, nie wyobrażających sobie, że miłość dla nich, choćby niewzajemna, zbawienniejszą jest dla kochającego niż skłonność, uwieńczona wzajemnością dla jakiejś innéj istoty.

Jak się łatwo domyśli czytelnik, mieszkańcy Five-Forks szybko wyrobili sobie krótki a jasny pogląd na całą sprawę. Skoro się dowiedzieli, że panna Arnot nie była „starą czarownicą,“ która w postaci młodego ładnego dziewczęcia przybyła zwodzić Five-Forks w ogóle a „waryata“ w szczególności, — nabyli natychmiast przekonania, że połączenie się małżeństwem „waryata“ z ładną „bakalarką“ jest jedynem wyjściem odpowiedniem zdrowemu ludzkiemu rozumowi.

Osobliwsza łaska losu, która Hawkinsowi przypadła w udziale, zgadzała się w zupełności z pojęciami, krążącemi w osadzie o jego „bezwstydnem szczęściu.“ Że zawiedziony przez „starą czarownicę“ znalazł żyłę złota w własnym domu, nie szukając jéj nawet, to się wydało tym kazuistom następstwem dziwacznego, niemniéj przecież pospolitego prawa przyrody.

Na domiar jeszcze tych tak ważnych a szczęśliwych zrządzeń losu, panna Arnot wchodząc na górę Lincolna zwichnęła sobie nogę i musiała w Five-Forks pozostać kilka tygodni dłużéj niż jéj towarzyszki.

Przez ten czas Hawkins okazywał w sposób uprzedzający acz dziwny swe dla niéj współczucie. Gdy przecież po upływie dość znacznego czasu nie było wciąż jeszcze widoków, by nowy dom niezadługo został zamieszkanym, poczęli mieszkańcy Five-Forks postępowanie Hawkinsa w całkiem innem widzieć świetle. Osądzili, że „czarownica“ musi być godną pożałowania, męczennicą skazaną na cierpienia, ofiarą umysłowéj słabości Hawkinsa i jego zmienności. Widocznie dla niéj dom tu postawił a potem zostawił ją na koszu. Jego dotychczasowe kawalerskie życie było bez wątpienia owocem kilkokrotnych zaręczyn, związanych w chwili słabości, następnie zaś zrywanych, — a że też samą grę rozpoczął z biedną bezbronną bakalarką, to było wszystkim jasne jak słońce. Równie jasnem przecież było dla nich, że ich obowiązkiem jest nie dozwolić Hawkinsowi na ten raz znów być niestałym.

Panna Arnot naraz ujrzała się zasypaną prostackiemi hołdami, które byłyby zabawne gdyby nie były bolesne i które nosiłyby cechę narzucania się, gdyby nie były daniną niemal ubóstwiającego poszanowania. Codziennie przychodził jeden z Five-Forksjanów do hotelu by się dowiedzieć o zdrowie pięknéj pacyentki.

— Czy Hawkins był tu dzisiaj? — badał Tom Flynn z udanym spokojem i obojętnością, kiedy stojąc na werandzie pochylał się nad szeslongiem panny Nelly. Po twarzy pięknéj panny przemykał blady różowy obłoczek, gdy się widziała zmuszoną do odpowiedzenia:

— Nie.

— Wczoraj zranił sobie o kamień nogę, — ciągnął Flynn, z nieprzebaczoną kłamliwością. — Niechaj to panią nie martwi, panno Arnot. Jutro już przyjdzie niezawodnie. Tymczasem polecił mi oświadczyć pani od siebie najpiękniejsze ukłony i przysłał przezemnie ten bukiet.

I Tom Flynn oddawał trochę kwiatów zerwanych po drodze w tym celu.

— Nie powinnaś się pani zrażać obejściem Hawkinsa, — mówił inny życzliwy kopacz złota, — trudno w całéj kopalni o tak dobrego, tak serdecznego człowieka jak ten Cyrus Hawkins. Cała jego wina w tem, że nie umie obchodzić się z kobietami; — i dodawał następnie z całą parafiańską w swój rozum ufnością: Nie bywał nigdy nawet w eleganckich towarzystwach, jak my inni; ale on ma poczciwe zamiary, panno Arnot.

Równocześnie kilku innych współczujących kopaczy złota starało się wytłómaczyć panu Hawkins, że pacyentka potrzebowała jak największéj opieki i uprzejmości ze strony mieszkańców osady.

— To tak być nie może, Hawkinsie, — zapewniano go. — aby ta mała powróciła do San Francisco i opowiadała tam, że tu była chorą i osamotnioną a jedyny człowiek, pod którego dachem odpoczęła i u którego stołu zasiadła — (maleńka ta przesada zdała się im w zupełności usprawiedliwioną) — nie troszczył się o nią bynajmniej. Tego nie powinniśmy ścierpieć; czegoś podobnego nikt i nigdy nie powinien zarzucić Five-Forksjanom.

I wówczas waryat szedł do hotelu by być powitanym przez pannę Nelly z nieprzystępną sztywnością i chłodem, który wszakże trwał niedługo i ustępował miejsca ożywionéj wymowie i łatwo dającéj się wybaczyć kokieteryi. Tak biegły dnie. Zdrowie panny Nelly polepszało się widocznie; ale dusza jéj cierpiała. Pan Hawkins codziennie więcéj był zakłopotanym a mieszkańcy Five-Forks zacierali uśmiechając się ręce i czekali niezadługiego „rozwiązania całéj sprawy."

Rozwiązanie to przyszło, — inaczéj wszakże niż je sobie wyobrażali Five-Forksjanie.

W pogodne lipcowe popołudnie wjechało do Five-Forks towarzystwo amerykańskich turystów. Obejrzeli sobie obowiązkowo dolinę z wielkiemi skałami i grubemi drzewami, a że wpośród nich było kilku kapitalistów z wschodnich Stanów, zdało się im słusznem do widoku wyłącznie malowniczych piękności przyrody dołączyć rzut oka na pożyteczne i zyskowne kalifornijskie kopalnie. Jak dotąd podróżnikom dziwnie sprzyjało szczęście. Wodospad, dzięki wczesnéj porze roku, był niezwykle obfitym i ogromne massy śniegu leżały jeszcze na gór wierzchołkach; podróżni objechali dokoła pień jednego z owych wielkich drzew, przez drugi zaś, rozdwojony, przejechali na swych mułach. Wyrażenie: „byli zachwyceni" w zbyt małéj tylko mierze malowałoby zapał tych pań i panów. Chojność panów, podejmujących kolejno towarzystwo, strugami lejący się szampan, nowość dekoracyi i kąpiel wonnego powietrza doliny, wszystko to razem działało prawdziwie upajająco na naszych turystów. — Jeden z nich oświadczył stanowczo, że chciałby tu żyć i umierać. Drugi posłał do „*New-York-Times*" gorący opis téj wycieczki, w którym wszystkie inne amerykańskie i europejskie cuda przyrody w porównaniu z tą doliną uznaje za niegodne nawet wspomnienia. W takich warunkach spodziewać się było można, że i kopalnie Five-Forks, acz innego wprawdzie rodzaju, przecież niemniéj głębokie zrobią na zwiedzających wrażenie. W tym celu nadeszły z San Francisco listy od bogatych posiadaczy min, skutkiem czego jeden z agentów podjął się oprowadzania podróżnych, by im okazać wszystko co było godnego widzenia a ukryć starannie to, co nie byli powinni zobaczyć i tym sposobem utrzymywać ich wciąż w bezustannym zachwycie. Dla tego też cmentarz, którego groby kryły zwłoki dwu ludzi, dwu bowiem tylko zmarło tu naturalną śmiercią, jak również smutne, rozpaczne wdów chaty z tamtéj wzgórza strony z oślepłemi, nieszczęsnemi swemi mieszkańcami, którzy całe dnie pracowali ciężko za tak nędzną zapłatę, jaką odrzuciłby ze wzgardą najuboższy wyrobnik w New-Yorku, naturalnie nie weszły w ramy wspomnień z podróży naszych turystów.

Przeciwnie pokazywano im budowle i niezmordowanie pracujące maszyny kopalni stowarzyszenia „*The Blazing Star*" — któréj szanowny dyrektor otrzymał tajemną z San-Francisco wskazówkę zabawiania w sposób „właściwy" podróżników. Oglądali również drogocenne kupy kruszcu w składach towarzystwa; długie sztaby złota, przygotowane do ładowania na okręty, żartami ofiarowano téj z pań, która zdoła je podnieść i bez niczyjéj pomocy unieść z miejsca; nawet ponure, ciemne sztolnie służyć musiały do uzupełnienia tego obrazu i tym sposobem — używam tu słów pewnego optymistycznego korespondenta jednéj z New-Yorkskich gazet — „bogactwo Five-Forksu, znakomite jego jasne strony oraz wyższość, jaką te kopalnie dla kapitalistów Wschodu przed innemi posiadają, została popartą przekonywającemi dowodami."

Po tych wszystkich pięknych obrazach zaszedł wprawdzie drobny wypadek, który — co jako bezstronny sprawozdawca przyznać muszę — bynajmniéj nie wykazywał owych jasnych stron kopalń Five-Forkskich, którego ja przecież nie mogę pominąć milczeniem ze względu na znaczenie, jakie on miał dla głównéj postaci prawdziwego tego opowiadania.

Kilku podróżnych, nieco więcéj posiadających bystrości poglądu, zauważyło, że pojedyncze części sztolni (prawdopodobnie skutkiem zbyt wygórowanéj, zwodniczéj rocznéj dywidendy) były źle i skąpo oszalowane i nędzne miały podpory, tak, że niezbyt bezpiecznem było do nich schodzić. Mimo to w chwili gdy huk korków szampana rozległ się w słabo oświetlonych galeryach, zmięszany z wesołemi śmiechy — nagle nastąpiła jakaś głucha, straszliwa cisza. Kilka lamp przemknęło w jednéj z dalszych części galeryi; spieszne jakieś rzucano rozkazy wzruszonym głosem, a potem rozległ się głuchy łoskot, zwiastujący nieszczęście. Niektórzy podróżni pobledli, jedna z pań zemdlała.

(Dokończenie nastąpi).

Jakób de Trévannes.

przekład z francuskiego

F. W.

(Ciąg dalszy).

Jakby zdziwiona swojem opuszczeniem lekko się usunęła, a ująwszy go za rękę usiadła przy nim na otomance.

— Droga moja, rzekł, ja równie jak ty i razem z tobą cierpiałem i odgaduję przyczynę twych obaw.

— Po co ona tu przyjeżdża? rzekła wzruszona. Na co twój ojciec ją tu sprowadzał?

— Mój ojciec jest człowiekiem rozsądnym, droga Auroro, nie miałem jeszcze sposobności mówić z nim sam na sam, ale znam go dosyć, aby być pewnym, że towarzysząc pani de Trévannes, dał się wciągnąć w zamiar pojednania, czego zapewnie od niego żądano.

— A skoro zażąda od ciebie zapomnienia i przebaczenia?

— Nie, nie, mój ojciec zanadto dba o wspólny nasz honor, aby nakazywać mi robić ofiarę z méj dumy. Pomiędzy panią de Trévannes a mną, jest teraz przepaść, on wie o tem i jeżeli przystał na ten krok, naglony, przypuszczam, obawą rozłączenia, którego następstw dzisiaj się lękają, to dla tego, iż osądził, że rozumniéj będzie tym razem rozbierać tę kwestyą bez gniewu.

— Jakóbie, ja się boję!... Boję się tego powrotu, boję się tego widzenia. Ta kobieta będzie cię błagać, twój ojciec niezawodnie ją popierać będzie, aby uzyskać od ciebie zbliżenie. — Mój Boże, Jakóbie co się ze mną stanie bez ciebie? dodała zalewając się łzami.

— Jak twoja biedna wyobraźnia się błąka! czyż nie mam teraz siły do walki, w imię mego szczęścia, przeciwko słabości, do któréj władza mego ojca byłaby może mnie nakłoniła? — Co cię obchodzi dzisiaj ta kobieta, będąca niczem już dla mnie.

Aurora słuchała go, ocierając łzy i jakby przyciśniona wielką obawą. Jakób upadł przed nią na kolana i biorąc jéj obie ręce, rzekł:

— Nie bój się droga moja, chcesz, abym odjechał natychmiast, nie widząc się już z nią wcale?

Krzyknęła z radości, ale w téj chwili prawie, zawstydzona brakiem odwagi, rzekła:

— Jakóbie! przysięgnij, że jéj nigdy nie kochałeś...

— Nigdy! odpowiedział i nigdy nikogo nie kochałem, prócz ciebie! Bądź więc odważną, przeszłość już nie istnieje i należę do ciebie. Chcę, abyś mnie kochała szczerze, jak ja ciebie kocham, bez niepokoju, bez wyrzutów, a zwłaszcza nie udręczając twego złego, zazdrosnego serduszka.

— O ja ci wierzę, wierzę! zawołała żywo i nie ujrzysz mnie już zatrwożonéj! Jakóbie oddaję ci moją duszę, równie jak ty dajesz mi swoją. Od téj chwili przysięgam ci nie mieć żadnéj niegodnéj ciebie myśli.

— I z czarującym wdziękiem przyciągając go do siebie, złożyła pocałunek na jego czole.

Bezprzytomny patrzał na nią przy bladem świetle które ich oświecało, jéj wielkie oczy wlepione były w niego w niemym zachwycie. Wonie ogrodu dochodziły do nich letniemi zapachy, cisza, tajemniczość uśpionéj godziny, wszystko to było bezwiednym wspólnikiem ich upojenia, niepostrzeżenie, stopniowo ich ogarniającego. Spojrzenia ich się spotkały, ona z tą upajającą niedbałością schyliła rozpalone czoło i usta ich spoiły się po raz pierwszy. Była to jakby niespodzianka zmysłów i szał gwałtowny. Miłość cała tak długo tłumiona wylała się teraz nagle z wulkaniczną siłą zmysłów i całą gorączką namiętności, o któréj niezwalczonéj potędze oboje dotychczas niewiedzieli.

Budzący się dzień przygasił ostatnie gwiazdy skoro wyszli z pawilonu. W zamku wszystko spało; Aurora weszła niepostrzeżona. Światło dzienne walczyło ze światłem na pół poupalanych świec i purpurowy blask słońca odbijał się na szybach. Wiatr poranny słał jéj zapachy z lasu; lekka mgła unosiła się nad trawnikami, podobna do zwojów gazy. Marzyła, cała drząca jeszcze na wspomnienie Jakóba napawającego się wonią jéj włosów. Należeli do siebie nazawsze, nic ich rozłączyć już nie mogło. Co ich obchodził świat cały Niebo otrzymało przysięgi ich dozgonnéj miłości, wyższéj nad te układy światowe, tworzące tyle nieznośnych więzów. Mistyczne wyobraźnie lubią przenosić się w te sfery idealne, gdzie dusza unosi się po nad rzeczywistość życia. Jakób posiadł całą jéj istotę, z upadku zostało tylko w jéj umyśle wspomnienie silnie ugruntowanéj przyszłości. — Pogrążona w tych tkliwych rozmyślaniach oparła się o kominek. Oczy jéj zatrzymały się na portretach pana i pani de Kérouac, tych drogich istot na nią oczekujących i zdających uśmiechać się do niéj. Jakby w oddali, ujrzała swój wiek dziecinny i młodzieńczy i Piotra i wszystkie te jasne wspomnienia. Powoli, jakby ze snu się budziła. Odwróciwszy twarz, cała rumieniąc się, ujrzała się w lustrze i długo z głębokiem zadziwieniem przyglądała się sobie, jakby komuś innemu zupełnie. Zmiana w niéj zaszła. Płomienne spojrzenia, czoło pełne śmiałości, nawet te nawpółotwarte usta, noszące jeszcze ślady rozkoszy, byłaż to dawniejsza Aurora? — Naraz okropne łkanie rozdarło jéj piersi, szał zniknął, uczuła wstręt ku sobie.

VII.

Nazajutrz ledwo wstała Regina, pobiegła do pokoju Aurory. Pukała, nikt nie odpowiadał.

Niech śpi, pomyślała; podczas snu, zapomina się...

Na śniadanie nie zeszła. Pani Berthorét niespokojna szybko pobiegła na górę do swéj przyjaciółki. Pokój był próżny, łóżko nie rozebrane. Na stole teka do pisania otwarta i dwa listy zapieczętowane: jeden pod adresem Jakóba, drugi do niéj saméj. Rozdarła kopertę i czytała:

„Jestem zgubiona... Jakób jest moim kochankiem, kocham go, uciekam przed nim i umieram. Gdzie pójdę? nie wiem! Skoro będę mięć siłę do powiedzenia wszystkiego, napiszę! — Przebacz mi

Twoja siostra

Aurora.

„Wręcz mu pożegnanie, które dla niego zostawiam.

Pani Berthorét zeszła prawie omdlała z góry. Kazała uwiadomić Jakóba

— Aurora odjechała! powiedziała mu, skoro wszedł.

— Odjechała!....

Zachwiał się biedny.

— Czytaj pan prędko, rzekła podając mu list.

Otworzył go z pewnem wahaniem.

„Jakóbie, przebacz mi. Nie potrafię znieść méj hańby i nie chcę rumienić się przed tobą. Żegnam cię.

— I cóż? zapytała Regina, widząc go zrozpaczonego.

Nie miał siły odpowiedzieć.

Przyszedłszy do siebie Jakób, zaczął szukać jéj w okolicy. Nad wieczorem zwykle wracał wycieńczony. Żadnego znaku i żadnych śladów. Na natarczywe zapytania pani Berthorét odpowiedział jéj noceną schadzkę. Zapytywała go o przyczyny powrotu pani de Trévannes. — Odpowiedział, że teraz więcéj jak kiedykolwiek rozłączenie ich jest pewnem. Będzie wolnym, rozwiązując ostatni węzeł rozwodem, do którego prawa jego kraju pozwoliły mu się uciekać, a na który zezwoliła sama pani de Trévannes. Odjeżdżała nazajutrz z ciotką. Dwa dni przeszły w śmiertelnéj trwodze, nareszcie trzeciego dnia chłopiec z okolicy przybył z listem. Baron przyprowadził go do pani Berthorét, która zobaczywszy list wydała okrzyk, myśląc, że Aurora umarła. Dziecko zbliżyło się i podało jéj list. Otworzyła go, ledwo trzymając się na nogach. Kilku słowami tylko, pani de Ploëven uspokajała ją, błagając, aby nie wyjawiała miejsca jéj pobytu.

— Gdzie ona jest? zapytała się Regina, dziecka.

— W chacie u Miréjou; da pani odpowiedź?

— Czekaj, pojadę z tobą.

Podczas, kiedy zaprzęgali, posłała po Jakóba. Przyszedł natychmiast, przeczuwając, że chodzi o Aurorę. Regina wszystko mu opowiedziała.

— Wiem gdzie jest, pojadę do niéj dodała, ale wydając panu tajemnicę jéj pobytu, proszę pana, abyś mi dał słowo, że nie pojedziesz za mną.

— Powiedz jéj pani, że moje życie należy do niéj i że będę jéj mężem...

W kilka minut potem jechała pani Berthorét drogą do Ustaritz. Od czasu do czasu wypytywała dziecko, które o Aurorze nic nie wiedziało. Przybywszy przed chatę, wyskoczyła z powozu, pozostawiając lejce Miréjou. Pasqua stała na progu.

— Ona tu jest, nieprawdaż? zapytała Regina.

Pasqua przeprowadziła ją przez dużą izbę, a w ogrodzeniu rozciągającem się po za domem, pokazała jéj jakąś postać między drzewami. — Z głową w tył przechyloną, oczami zamkniętemi i ustami prawie skurczonemi od łkania, Aurora siedząca we fotelu, zdawała się na wpół uśpioną. Otworzyła oczy, zdziwiona odgłosem kroków. Spostrzegłszy panią Berthoret wydała słaby okrzyk. Regina pochwyciła ją w objęcia.

— Okrutne dziecię! rzekła wzruszona. Czy ja nie twoją siostrą? Dla czego nie ufałaś memu do ciebie przywiązaniu? Myśleliśmy, żeś umarła...

— Czemu rzeczywiście nie umarłam? szepnęła płacząc.

— Biedna szalona, jeżeli tu przybyłam, to dla tego, aby cię pocieszyć. Jakób przysyła mnie do ciebie, będzie twoim mężem!...

Na twarzy Aurory ukazał się uśmiech radosny, podniosła się bezprzytomnie, niedowierzając czy dobrze zrozumiała.

— Moim mężem?... wyszeptała.

Pani Berthorét opowiedziała jéj wszystko. Słuchała, drżąca, nie odważając się ani pojmować, ani wątpić.

Regina trzymała ją w objęciach. Aurora płakała, ale tym razem były to łzy szczęścia. Przyszłość, przedstawiająca jéj się tak ciemno, zamieniała się nagle w jasną. Jego żoną! — Będzie go mogła kochać otwarcie, wiecznie. Nakłaniała Reginę do powtarzania najdrobniejszych słów Jakóba, wypowiedzianych w ciągu tych trzech dni pełnych udręczenia: wypytywała ją o odjazd Genowefy i jéj ciotki i o nieodwołalnym rozwodzie. Tymczasem ulżywszy cokolwiek wyrzutom sumienia i cała oddana niespodzianéj radości, myśl o rozwodzie zaczęła wkrótce trwożyć chrześciańską jéj duszę. Regina znajdowała tysiące dowodów na obronę czynu, który potępiała w swych rodzinnych i wychowawczych zasadach. Więcéj, niż każda inna, utrzymywała raczéj, że stare zwyczaje jedynie są sprawiedliwe i że rewolucye tak w politycznem, jak i w prywatnem życiu nie są nic warte. I ona to była, która prawiła o niepodległości Aurorze, zbijając jéj wahania i dodając otuchy.

— Zresztą prawa są prawami, mówiła, uważam za niedobre takie tylko, które nie zapobiegają złemu. — Znam się moja droga na źle dobranych małżeństwach, ale świat jest już taki, na całe życie robi nas odpowiedzialnemi za omyłkę, a jaka to ta omyłka; najczęstsza!... Pobierają się bez poznania siebie wzajemnie, naraz odkrywają w sobie nieznośne błędy, wady nawet... nic to nie znaczy, pobrali się, nienawidzą się, małżeństwo zakuło łańcuch!.. Szczęściem Jakób pochodzi z kraju, gdzie pojęli, że nic tu na ziemi nie jest nieodwołalnem i że lepiéj zerwać zawczasu węzeł, jak stworzyć z niego męczeństwo. Uniesiona nową tą teoryą przeciwną swoim przekonaniom, Regina mimowolnie dała się nią ująć i chcąc przekonać przyjaciółkę, doszła do przekonania saméj siebie.

Pierwszy raz w życiu, rozum jéj badał tę zatrważającą tezę nad którą najpoważniejsi prawodawcy bledli tak często, a z tą loiką, którą zwykle stósowali do wszystkich czynności swego życia, zapytywała się czy mądrość i prawda nie zawierały się właśnie w téj formie oswobodzenia, wykreślonéj z naszego kodeksu. Aurora słuchała z tą zachwycającą uległością, która chce uwierzyć. Jeżeli stawiała jeszcze jakiekolwiek wnioski, było to dla tego, aby Regina zbijała takowe, mówiąc jéj o Jakóbie. Ona nawzajem teraz opowiadała strapienie przeszłych dni. — Regina została w chacie aż do drugiego dnia. Obudziwszy się znalazła Aurorę spokojną, rozjaśnioną, z uśmiechem na ustach, tym uśmiechem ludzi szczęśliwych, mających wiarę w swą przyszłość. Zdecydowała się na natychmiastowy wyjazd do Kérouac.

VIII.

Bywają niespodziane godziny zdające się być pastwą losu, zdarzenia nagłe zmieniające całe życie, jakoby złamane ogniwo łańcucha rozdzieliło gwałtownie przeszłość od przyszłości i zniweczyło ją na zawsze, odsyłając w krainę snów.

Z duszą jeszcze niepokojoną drżącemi wspomnieniami z Roc, Aurora wróciwszy do Kérouac, zamieszkała w rodzicielskim zamku, ku wielkiéj uciesze starych rodziców, domyślających się od razu, że zaszła jakaś zmiana. Trudno jéj było rozpoznać się w tym niewyraźnym jeszcze świecie nowego jéj istnienia, gdzie przypomnienia przeszłości przejmowały ją jak pobladłe wizye jakiegoś snu w oddali. Teraźniejszość przestraszała ją. Przeświadczenie o swoim upadku pozostawiło w niéj głębokie zdziwienie, rodzaj nieokreślonego złudzenia. Skoro wymawiano przed nią imię Piotra, na myśl czem się stała, czuła wyrzuty wkradające się do swego serca, a pocałunki matki sprowadzały rumieniec na jéj lica.

Wreszcie listy Jakóba uspokoiły jéj najsmutniejsze wrażenia. To pełne godności rozłączenie, którem zobowiązali się doświadczać siebie wzajemnie, nie podnosiłoż ich we własnych oczach? Przywiązała się do téj myśli, że oddalenie uszlachetnia ich miłość. Zresztą Jakób wyrażał się jako narzeczony; niczem nie przypominając zapałów kochanka. Przekonanie o uczciwéj téj miłości sprowadziło uspokojenie. Wiara ich wzajemna była żupełną; pewność ich szczęścia objawiała się w swobodzie ich wyrażeń. Jakób przybrał już ton czułéj opieki; ona okazywała mu pełne szacunku posłuszeństwo, radząc go się co do zajęć dziennych w jego nieobecności, lub czyniła mu rozkoszne zwierzenia rozwijając przed nim plany na przyszłość.

Miesiąc upłynął od powrotu Aurory do Kérouac, gdy list odebrany z Genewy, napełnił ją radością. Przyjaciel rodziny de Trévannes, dyrektor znacznego towarzystwa, ciągnącego korzyści z kopalni w Szaffuzie, proponował Jakóbowi, aby go zastąpił. Wysokie to stanowisko, odpowiednie jego upodobaniu i charakterowi, stanowiące zarazem majątek, skłoniło go do przyjęcia tegoż. Dodał, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa, urzędowanie jego, zniewoli go do przepędzenia zimy w Paryżu i zbliży go ku niéj.

W serdecznem uniesieniu Aurora ucałowała te wyrazy.

Przejęta ukochanem wspomnieniem, stworzyła sobie życie rozmyślania, od którego ani ojciec, ani matka nie śmieli jéj odrywać. Było miejsce, które marzycielka wybrała, niezawodnie w skutek jego odosobnienia. Nazywano je Kamieniem Czarodziejek. Naturalnie, że nazwa ta wiązała się z jakąś bretońską legendą. Wielkie kamienie ułożone jeden na drugim tworzyły jaskinią, mchem obrosłą, przypominającą grotę Miréjou. Aurora siadywała tam całe popołudnia z książką na kolanach. Miłość bowiem rozwija w nas ten czarowny zmysł łączący nas ściśléj z naturą i daje nam do podziwiania tejże, najwyższą zdolność przyjmowania wrażeń. Kiedy duch jest pełen, usta milczą; słuchamy zachwycającego koncertu wewnętrznych melodyi szemrzących piosnkę nadziei. Zamykamy się w sobie z samolubnem poczuciem smakowania w swych skarbach i zdaje się, że ów skarb nigdy dość głęboko nie jest zachowanym. W swojem małem państewku Kamienia Czarodziejek, Aurora czuła się bliższą Jakóba. — Pewnego razu przyszła tam odczytywać jego listy. Roskosznie wzruszona przebiegła takowe, kiedy naraz podniosła oczy.

— Jakóbie! . . . wyszeptała.

Nie mogąc wydobyć głosu, prawie omdlała, podała mu rękę.

— Tak, to ja, rzekł, nie mógłem dłużéj czekać.

— Jakóbie! . . . powtórzyła upojona.

— Przebaczysz mi? odparł klęcząc u jéj stóp. Od trzech dni wszędzie chodzę za tobą . . Obiecałem nie wydać się . . . lecz, widząc cię tam . . . tak blisko . . . nie mógłem się oprzeć. . .

Aurora nie rozumiała nic więcéj z téj pomięszanéj mowy, prócz tego, że był tuż, obok niéj, że mówił do niéj, aby jéj dowieść, że nie była igraszką urojenia

— Teraz tłomaczę sobie, rzekła, to myśli tak słodkie! Jakóbie, wierzę w przeczucia serca, bo moje serce odgadło ciebie. . .

Trzymając się za ręce przypatrywali się sobie w zobopólnym zachwycie. Spotykali się po tylu boleściach, rozpaczach, snach i nadziejach, więcéj kochający i silniejsi, złączeni świętem zobowiązaniem, narzeczeni, małżonkowie prawie.

— O! mów jeszcze, szeptała z anielskim uśmiechem, mow Jakóbie. Mów mi o tem co tak głęboko czuję i czego nigdy nie znudzi mi się słuchać; mów, że mnie kochasz, że cierpiałeś, że płakałeś za mną. Patrz na okół siebie, wszystko zna cię. . . Otóż tutaj będziemy żyli oboje. Nie mam już zmartwień . . . nauczyłam się nie trwożyć mem szczęściem i używam go jako daru z nieba, z żywą i wdzięczną ufnością

Chwile upływały na tych czułych zwierzeniach, w których wynurzali swą miłość. Prosiła go aby jéj opowiadał o swojéj podróży do Kérouac, o swych śledzeniach, zatrzymywaniu się w parku i wzruszeniu, skoro pewnego poranku spostrzegł ją wychodzącą za bramę zamku. Idąc za jéj śladem, przebiegał tę samą drogę, ukrywając się za krzewami. Wiedział jak dnie przepędza, godzinę jéj wstawania, późniéj kiedy schodzi i prowadząc pod rękę margrabinę idzie naprzeciw ojcu, wracającemu z przechadzki; znał chaty, w których się zatrzymuje.

Aurora słuchała, wstrzymując oddech.

— A pan? zapytała.

Upewnił ją o dobrym obrocie wiadoméj jéj ważnéj sprawy. Już nawet był rozpoczął swe prace; wysokie to stanowisko zabezpieczało ich przyszłość.

— Przyjacielu, ależ jesteśmy zanadto bogaci! zawołała z czarownym uśmiechem.

Słońce zachodzące przypomniało im spóźnioną porę.

— Teraz żegnam cię; przebaczyłaś mi pani żem odszukał twe schronienie, widziałem cię, unoszę z sobą odwagę.

— Ale ja pana nie widziałam, ja! odparła, patrząc na niego z takim słodkim wyrazem żalu, że Jakób uchwycił jéj rękę z uwielbieniem.

(C d. n.)

Redaktor Tadeusz Kamieński w Poznaniu. — Nakładem i drukiem N. Kamieńskiego i Sp. w Poznaniu.